Nr. 24. Lwów, 15. grudnia 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dalszy ciąg).

Wymarsz nasz z Abkuku naznaczony został na dzień następny, więc też po południu, gdy żar słoneczny trochę osłabł, wziąłem mych chłopców i poszedłem do dżungli. Pod zachód słońca powróciłem do obozu, przynosząc piękny egzemplarz *baszmata*. Postrzeliłem też ciężko *morę*, lecz moi chłopcy, mimo strasznych wysiłków, dogonić jej nie mogli.

Przestrzeń pomiędzy Abkukiem i Harunem była krańcem terenu, na którym się można było spotkać z bawołami; więc też hrabia chciał jeszcze raz skorzystać z tej ostatniej szansy i wyruszył wczesnym rankiem dnia 1 marca naprzód w towarzystwie swych shikarich, łudząc się nadzieją, że po drodze trafi jeszcze na świeże tropy tych zwierząt.

Ja z karawaną miałem później wyruszyć, aby ruchów myśliwskich nie krępować. Gdy więc się obliczyłem, że hrabia dostatecznie się oddalił, wyruszyłem z miejsca obozowania; lecz zaledwieśmy zrobili wiorstę drogi, gdyśmy w dali na łące spostrzegli naszych myśliwych, idących widocznie po tropach. Zatrzymałem cały obóz i sporą chwilę wyczekałem, poczem ruszyliśmy dalej. Wkrótce też przekonaliśmy się, że hrabia w samej rzeczy posuwa się po świeżutkich tropach stada bawołów. Szły one ciągle samą drogą, aż dopiero po jakiej półgodzinie spostrzegliśmy, że skręcają w głąb dżungli. Puściłem się z moją drużyną dalej, strzelając ptaszki do kolekcyi.

W połowie drogi do Harunu, Ibrahim, który tuż za mną prowadził mego konia, rzekł nagle: „Pasza“.

Sądziłem, że to hrabia, który wyszedł na drogę po niefortunnem tropieniu bawołów, lecz spostrzegłem na zakręcie dwóch europejczyków, jadących konno, a za nimi dwóch innych na wielbłądach. Zmiarkowałem odrazu, że to musi być ks. Arenberg. Zrównawszy się przeto, uniosłem kapelusza i zapytałem:

— Prawdopodobnie mam szczęście rozmawiać z ks. Arenbergiem?

— Tak jest — odpowiedział mi grzecznie dwudziestokilkoletni młodzieniec o typie angielskim, czy flamandzkim, wyciągając do mnie rękę.

Zarekomendowałem mu się, poczem on mi przedstawił towarzysza swego, hrabiego Le Marois, otyłego i czerwonego mężczyznę.

Zaczęły się obustronne zapytania. Jak się okazało, panowie ci, oprócz małych gatunków antylop, nic dotychczas nie zabili. Książę narzekał bardzo na Anglików, którzy mu wytknęli mniej więcej tę samą, co i nam marszrutę. Linia, łącząca Gedaref i Roseires, miała stanowić wschodnią granicę jego rejonu, więc i on, tak jak my, nie mógł się posuwać do Dindera na szerokości Dissy. Z tej zozmowy naszej widocznem było, że Smyth-bey w swych listach wykręcał się tylko, powołujac się na maszrutę Arenberga, który rzekomo miał Dinderem podążać.

Zarekomendowawszy księciu Dissę, jako obfitującą w słonie, puściłem się w dalszą drogę i o godzinie wpół do 10-tej stanąłem w Harunie, gdzieśmy rozbili obóz w cieniu drzew rozłożystych. Hrabia nadciągnął dopiero o godzinie 2-giej po południu, znużony i zrażony strasznie. Z opowiadań jego dowiedziałem się, że tropiąc ciągle bawoły, doszedł stada o godzinie 11-tej, lecz w skutek złego wiatru nie mógł bliżej podstąpić, jak na 110 kroków i z tej odległości strzelił. Bawoły zupełnie tak jak ze mną dnia poprzedniego, ruszyły zrazu, odchodząc, lecz po chwili skręciły prosto na myśliwych, szły jednak kłusem, a nie galopa. Obaj shikarisi powciągali się na drzewa i jeden z nich chwycił już hrabiego, aby go za sobą podciągnąć, gdy najniespodziewaniej w świecie znany nam już Fadil, nastraszony widocznie szarżą zwierząt, wyskoczył jak głupi naprzód, zaczął wymachiwać rękoma i wreszcie strzelił w powietrze z zapasowego sztucera, który trzymał w ręku. Bawoły skręciły i znikły w dżungli, a byłyby przyszły hrabiemu pod same nogi. Mogłem sobie powinszować, że dnia poprzedniego nie zluzowałem bezpiecznika w mym mannlicherze, gdyż inaczej Abdalah byłby mi podobną sztukę wypłatał i tak samo musiałbym patrzeć na znikające w oddali, stado. Hrabia był tym wypadkiem bardzo przygnębiony, gdyż była to ostatnia sposobność zabicia bawołu.

— Nigdy w życiu, — mówił mi, — nie uderzyłem w twarz nikogo. A jednak w tym wypadku porwała mnie taka pasya, że mimowoli z całej siły wyrżnąłem w papę tego durnia. Rezultat był taki, że on uśmiechnął się do mnie czule, a mnie ręka dotychczas boli.

Resztę dnia spędziłem na preparowaniu ptaków. Około godziny 5-tej nadciągnęło nad jeziorko stado pelikanów około 50-ciu sztuk. Brzydki ten ptak wygląda w locie nadzwyczaj majestatycznie, szczególniej, gdy zataczając wielkie koła, zapada na wodzie. Ptaki dały nam się zejść tak blisko, że je hrabia dwukrotnie sfotografował przy pomocy swego aparatu. Dziwnem się to wydaje, gdyż pelikan w Europie i w Egipcie należy do najostrożniejszych ptaków.

Wieczorem około 8-mej w chwili, gdyśmy obaj zajęci byli notowaniem wrażeń, ludzie nasi dali nam znać, że widzieli przy świetle księżyca stado bawołów, ciągnące do rzeki. Zostajemy więc na dzień nsstępny w Harunie, gdyż hrabia raz jeszcze chce spróbować szczęścia na tę upragnioną zwierzynę.

Lecz i w tym dniu (2-go marca) św. Hubert nie chciał na nas spojrzeć przychylnem okiem. Całe przedpołudnie, począwszy od świtu, włóczyliśmy się, każdy na swoją rękę, po dżungli i wróciliśmy, zabiwszy po jednym arielu. Jeszcze gorzej udało nam się po południu, gdyż powróciliśmy do obozu z pustemi rękoma.

Na dzień 3-ci marca naznaczony został wymarsz do Tauli, lecz tak nam żal było porzucić te bawole ostoje, że hrabia zdecydował się jeszcze zostać do południa. Czasem jedna chwila przyniesie więcej, aniżeli całe tygodni. Myśliwemu zawsze przyświeca ta nadzieja, gdyż inaczej nie byłby w stanie wytrzymać tak forsownych marszów pod prostopadłymi promieniami słońca.

Poszliśmy więc o świcie, każdy w swoją stronę. Ja wziąłem moich obu shikarich i jeszcze jednego człowieka do prowadzenia osiołka, na którego zresztą wsiadł zaraz mój Mohamed, kulejący ciągle na jedną nogę. Nie liczyłem bardzo na spotkanie z bawołami, zdecydowany więc byłem strzelać do wszystkiego, co tylko spotkam po drodze.

Niedaleko obozu spostrzegłem parę gazell (*Gazela rufifrons*) i jedną z nich zabiłem na 150 kroków. Była to cielna samica. Gdy ludzie moi zajęci byli patroszeniem i spożywaniem wątróbki, spróbowałem podejść drugą sztukę, która kręciła się w pobliżu, zdziwiona zapewne nieobecnością towarzyszki, lecz zamiast niej, zeszedłem młode koźlę mory (*Oribia montana*), które dobrym strzałem powaliłem. Tak więc w ciągu 5-ciu minut udało mi się zabić 2 sztuki.

Przytroczywszy obie antylopy do osiołka, ruszyliśmy dalej. Po godzinnym blisko marszu, wyszliśmy na obszerną polanę, zarośniętą li tylko trawą, do kolan wysoką. Pośrodku stał jakiś duży zwierz, lecz mu tylko górną część ciała widać było. „Sanhir“ — objaśnili mnie łowcy. Był to więc phacocher, ale niezwykle duży. Mimo, że stał od nas na jakich 150 kroków, czy nas zawietrzył, czy usłyszał, bo łeb do góry zadarł i nasłuchiwał. Strzeliłem doń z tego miejsca, lecz zwierz ruszył, a przebiegłszy kilkadziesiąt kroków, znów przystanął. Strzeliłem powtórnie. Dzik ruszył z kopyta i zniknął mi w gąszczu. Żałowałem potem, żem nie starał się podejść go od strony dżungli, gdyż tym sposobem udałoby mi się może zmniejszyć odległość do 100, a może i 80-ciu kroków. A był to rzeczywiście egzemplarz wyjątkowo wielki.

W dniu tym mieliśmy szczęście do phacocherów, gdyż nieco dalej spotkaliśmy znów całe stado, złożone z 4 sztuk (2 duże i 2 mniejsze), a w powrotnej drodze shikarisi moi prawie, że nastąpili w wysokich trawach na wielkiego odyńca, który z hałasem pomknął przed nimi. W obu jednak wypadkach nie doszedłem do strzału.

Około godziny 11-tej wróciłem do obozu, a wkrótce potem nadciągnął i hrabia. Wnet po śniadaniu karawana wyruszyła naprzód, a w godzinę po niej i my obaj wraz z naszymi łowcami puściliśmy się w drogę. Odtąd w powrotnej drodze szliśmy zawsze za karawaną, ruszając z południowego postoju, doganialiśmy ją zwykle po półtoragodzinnym marszu i przybywaliśmy pierwsi na nocleg. Tylko rano, zwijając obóz, ruszaliśmy zawsze przed karawaną.

O 4-tej stanęliśmy na nocleg w Tauli. Ja strzelałem przez resztę dnia ptaszki do kolekcyi, gdy hrabia zrobił w okolicy małą wycieczkę, z której powrócił, zabiwszy młodego ariela.

4 marca. Wymarsz o godzinie $5^{3}/_{4}$. O wpół do 10-tej przybywamy na południowy postój do Ahmed-Mogit. Włócząc się przy obozie w celu zabicia ptaków do kolekcyi, odkryłem tropy jakiegoś wielkiego drapieżnika. Przywołany Ahmed Idris, orzekł, że są to ślady pantery. Zaschła krew i skotłowana ziemia świadczyły, że straszny ten łupieżca zamordował tu jakąś ofiarę. Poszliśmy za tropami i w odległości kilkudziesięciu kroków znaleźliśmy ukrytego w gęstym krzaku, trupa ariela. Drapieżnik przegryzł mu kręgi szyi, o czem świadczyły głębokie rany po obu stronach karku, poczem wyżarł mu cały jeden bok, poczynając od łopatki, aż do ogona. Była to doskonała okazya do zrobienia zeriby, gdyż zwierz niechybnie powinien był wrócić nocą do swojej zdobyczy. Lecz czas mieliśmy obliczony i spieszyć należało, aby stanąć na 24-go w Kairze. Po śniadaniu więc ruszyliśmy i na nocleg stanęliśmy w Fibnie. Hrabia zrobił jezzcze dnia tego małą wycieczkę, z której powrócił uradowany, zabiwszy najniespodziewaniej wielką antylopę "tetela" (*Bubalis tora*). Mięso jej zostawił na miejscu, gdyż w pobliżu łowcy widzieli pomykającą lwicę wraz z młodym. Gdyby więc w nocy drapieżnik mięsa spróbował, możnaby nań zasiąść dnia następnego. Lecz wbrew oczekiwaniom, lwica do trupa antylopy nie przyszła.

Ranek d. 5-go marca poświęciliśmy obaj na wycieczkę myśliwską w okolicy Fibny. Hrabia wziął ze sobą swych shikarich; do mnie przyłączył się Stefan. Dnia tego mogłem sprawdzić, jak zwierzyna sudańska nie zdaje sobie sprawy, skąd strzał pochodzi. Ukryty za gniazdem termitowem, strzeliłem na jakich 200 kroków do jednego z pary arielów, stojących na środku polany. Po chybionym strzale obie antylopy puściły się prosto ku mnie, podbiegły na jakich 60 kroków i stanęły. Ja tymczasem szybko nabój zmieniłem i na ten bliski dystans położyłem trupem jednego z pary. Byłbym prawdopodobnie sprzątnął i drugiego, lecz nabój zaciął mi się w magazynie i zanim zdążyłem go naprawić, zwierz uszedł. Zabiwszy potem jeszcze jednego ariela, około 10-tej wróciłem do obozu, gdzie już zastałem hrabiego przy nakrytym do śniadania stoliku.

Była to moja ostatnia wycieczka myśliwska w Sudanie. Odtąd raz jeszcze tylko miałem sposobność użycia mego karabinka, jak się wkrótce przekonacie. Karawana wyruszyła z obozowiska w południe, my zaś w godzinę po niej, jak to było naszym zwyczajem w powrotnej drodze. Nie ujechaliśmy jednak 6-ciu wiorst, gdy spotkaliśmy mego służącego, Alego w towarzystwie jednego z właścicieli wielbłądów, czekających na nas z wiadomością, że tuż obok na rzece zalegały cztery hypopotamy, z których jeden był nawet przed chwilą na lądzie, Zboczyliśmy tedy ze 200 kroków od drogi i podjechaliśmy do rzeki.

Brzeg w tem miejscu był na parę pięter wysoki, skąd widać było lustrzaną powierzchnię Nilu. Rzeka w tem miejscu usłana jest całym archipelagiem drobniutkich wysepek ze stwardniałego iłu, wybielonych pomiotem ptaków, które widocznie zwykły tu swe syesty odbywać. W górę rzeki od tych wysepek woda tworzy rodzaj spokojnego basenu i to zapewne skłoniło hypopotamy do obrania sobie tego miejsca na siedzibę. Domyslać się też można było, że zgromadziły się tu widziane przez nas w Riguebie gruboskóry, skąd je wypłoszyli uganiający się za rybami, krajowcy.

Poczekawszy chwilkę, ujrzeliśmy kolejno wszystkie cztery potwory, wynurzające się peryodycznie z wody. Jeden z nich odsłaniał nam swą wstrętną głowę nie więcej, jak w odległości 100 kroków i do tego zdecydowaliśmy się strzelać obaj razem na komendę. Przykląkłszy więc, z oparcia zmierzyliśmy do niego i hrabia zwolna skomenderował: „Raz, dwa, trzy!“ a oba strzały zlały się w jeden... Olbrzymia głowa zwolna zatonęła i jesteśmy dotychczas przekonani, jak również obecni przy nas ludzie, że zwierz otrzymał śmiertelny postrzał, gdyż od tej chwili, mimo skrupulatnego przeglądu całej okolicy, tylko trzy hypopotamy na powierzchnię wypływały.

Jeden z nich wynurzał peryodycznie swą głowę w bliskości przeciwległego brzegu, zatem na jakich 350 do 400 kroków od nas. Hrabia strzelił do niego przez lunetę, lecz kula uderzyła — w wodę o kilka kroków poza nim. Zwierz znurkował, lecz po chwili ze zdziwieniem spostrzegliśmy, że wypłynął w pobliżu miejsca, gdzieśmy pierwszego strzałami poczęstowali. Hrabia nie namyślając się, strzelił do niego, mierząc za ucho. Zwierz zwolna zatonął a ludzie nasi stanowczo rzekli, że ugodzony został śmiertelnie.

(D. c. n.)

(*Łowiec polski, Sztolcman*).

CHINY JAKO WIELKI ZWIERZYNIEC.

Ostatnie wypadki polityczne zwróciły baczną uwagę całego świata na Chiny. Któż jednak przypomina sobie, by słyszał cośkolwiek o zwierzynie łownej i stosunkach łowieckich tamże? Amerykański sportsman Guy Morrison Walker kreśli o nich następujący szkic, z którego wyciąg podajemy:

Dla przeważnej części czytelników będzie to nowością, że Chiny zaliczyć należy do krajów najbardziej w zwierzynę obfitujących. Nawet w najbliższej okolicy Pekinu, której stosunek zaludnienia jest 770 mieszkań-

ców na 1 □ km., są lisy, tchórze, pracz szop i wilk prawdziwą plagą krajową. Chińczycy, wierzący w pośmiertną wędrówkę dusz, niechętnie tępią lisa, mniemając, że dusze zmarłych ciotek i dziadków z szczególnem upodobaniem w lisiem ciele zamieszkują. Chińskie niziny i torfowiska roją się od kuropatw, pokrewnych tymże kur, właściwych Chinom i ptactwa wodnego i błotnego.

Według twierdzenia Walkera zawdzięczają Chiny swe bogactwo zwierzyny przedewszystkiem przedpotowemu uzbrojeniu tamtejszych myśliwych, którzy jeżeli o ptactwo chodzi, przeważnie wtenczas tylko trafiają, jeżeli ptaki w całych stadach siedzą. To też Chińczyk posługuje się daleko chętniej i skuteczniej pastkami i sidłami. Nieznanem jest również, że Chiny goszczą u siebie daleko więcej drapieżników, niż inne kraje. Góry zamieszkuje mnóstwo niedźwiedzi i lampartów; nawet tygrys bengalski podsuwa się aż do Amoy i Futszau. W górach, w pobliżu Pekinu, w pustyniach Mandżuryi i Mongolii żyje wspaniały tygrys syberyjski. Polowanie nań należało od dawien dawna obowiązkowo do zakresu wychowania chińskich następców tronu.

Na północ i południe od Pekinu są dwa wielkie zwierzyńce. Północny zwierzyniec, około 15 mil angielskich na północny zachód Pekinu, jest otoczony grubym murem kamiennym, wysokim na 5 metrów i obejmuje przedgórze tamtejszych wyżyn wraz z dotyczącemi dolinami.

Mur ten ma jednakże wiele szczelin, któremi się zwierzyna wymyka i zaludnia sąsiednie wyżyny. Wnętrze jest puszczą leśną poprzerzynaną szerokiemi liniami i ścieżkami do podchodzenia, które prowadzą do starych, rozpadających się leśniczówek. W parku tym są pyszne jelenie żółte o długim ogonie, zakończonym kitą.

Zwierzyniec południowy obejmuje 250 □ km. i posiada jelenia, jakiego zresztą nigdzie nie ma. Chińczycy zwą go „jeleniem mułem“, chcąc przez to wyrazić, że nie można go nazwać ani wołem, koniem, wielbłądem, ani jeleniem. Zwierzę to jest rodzajem łosia jasno siwej barwy, jednakże pozbawione rogów.

Klimat i w ogóle stosunki fizyczne, zmienne przeplatanie się gór, dolin, płaskowzgórz, jezior, rzek i stepów wpływają korzystnie na rozmnożę zwierzyny wszelkiego rodzaju. W Mongolii żyje dzika kura, prawdopodobnie protoplastka naszej kury domowej, doskonale latająca, wagi 9 do 10 funtów. Kury te mają żywo ubarwiony grzebień, zresztą są bronzowane z czarnemi i czerwonemi plamkami na grzbiecie i ogonie. Należą one do wybrednych przysmaków.

Obfitość zwierzyny odgrywa rolę nawet w ekonomicznych stosunkach Chin. Mongolski targ dziczyzny w Pekinie jest chyba najbogatszym w świecie. Ponieważ w zimnie północnych stron, zwierzyna dobrze się przechowuje, mogą Mongoli przyprowadzać na targ całe karawany wielbłądów, objuczonych zwierzyną, w której skład wchodzą: dziki, niedźwiedzie, antylopy, jelenie, dzikie barany i kozy i ponad wszystko przez Chińczyka cenione, dzikie osły. Z ptactwa najpospolitszym jest bażant, zwłaszcza śnieżysty Pallas, jeden z najświetniej upierzonych ptaków, zwany tu „kurą ognistą“.

Specyalną zwierzyną jest tu małpa. Oblicze jej jest barwy pomarańczowej, otoczone krótkimi, żółtymi kosmykami włosów, z czarną przepaską w poprzek czoła. Całe ciało i górna część przednich ramion są czarno-niebieskie; dolne odnóża białe, ręce i uda czarne, zaś stopy jaskrawo-czerwone. Nadto żyje w tym kraju małpa o gęstem futrze, zwana „człowiek niedźwiedź“, która odbywa sen zimowy.

Plagą wielu okolic Chin są dzikie psy; skóry psów dzikich chińskich, stanowią poważny artykuł handlu futrzanego.

Kraj tak obfity w jeziora, rzeki i bagna gości naturalnie niezliczone stada dzikich gęsi, kaczek, łabędzi, wszelkich bekasów, słonek i t. d. Chińczycy w bardzo prosty sposób na nie polują. Albo strzelają je na nawodnionych polach ryżowych z zasadzki, albo włażą do wody, nakładają na głowę podobne do dyni kosze, chwytają na około pływające płactwo za nogi i wciągają je pod wodę.

Sokolnictwo utrzymało się jeszcze dotychczas w Chinach. Na targu sokolim w Pekinie, czekają nabywcy długie szeregi sokołów, jastrzębi i orłów, przedstawiając jedyny w swym rodzaju obraz.

Po możliwem w przyszłości otworzeniu Chin dla Europejczyków, zlecą się sportowcy, strzelacze ze wszech stron i będą mordowali bez zastanowienia, co pod lufę wpadnie. Ale to już ostatni zwierzyniec, wartoby więc zawczasu pomyśleć o ochronie jego przed wyniszczeniem.

M. R.



Chyżość lotu u ptaków.

(Dokończenie).

Przed niedawnym czasem próbowano w Anglii mierzyć szybkość lotu ptaków elektrycznym chronografem t. j. przyrządem, którego używają do oznaczenia początkowej chyżości pocisków. W tym celu trzymają złowione kuropatwy, bażanty i gołębie we wielkich, zamkniętych przestrzeniach. w pogotowiu do wyścigów. Każdego z trzymanych na uwięzi ptaków wypuszczono z końca przestrzeni, 40 metrów długiej a ponieważ naprzeciw będąca poprzeczna ściana w całej swej szerokości stała otworem, przeto uwolnione ptaki przeleciały z normalną chyżością całą, zakrytą przestrzeń, aby się dostać na wolność. Tu były w pewnych odstępach od siebie rozstawione osoby, które dawały znak w chwili, gdy ptak przedostawał się z zakrytej przestrzeni, pod wolne niebo. Znaki te wykazywały na chronografie chyżość, z którą ptak przelatywał obok człowieka. W ten sposób skonstatowano również różnicę między chyżością, z jaką ptak przebył zakrytą przestrzeń, a chyżością, z którą przeleciał wydostając się na wolność. Największą chyżość wykazał przytem gołąb, najmniejszą słonka. Pierwszy leciał z szybkością 33 mil

angielskich na godzinę, druga z szybkością 26 mil. Doświadczenie to wykonano w zupełnie bezwietrznym dniu grudniowym.

Bażanty i kuropatwy wykazały przeciętnie zupełnie jednakową szybkość 30 mil angielskich na godzinę. Gdy atoli gołębie przez zakrytą przestrzeń szybciej leciały, niż pod gołem niebem, zachowały się bażanty wprost przeciwnie. Przy próbach tych okazało się, że bażanty nie nadają się wcale do doświadczeń, gdyż spadały na ziemię, skoro tylko dostały się na wolność. Zdaje się, że obecnie nie jest rozstrzygniętem pytanie, czy zjawisko to obserwowane u nich także w czasie lotu pod gołem niebem jest wynikiem osłabienia, czy też wynikiem pewnej wrodzonej im właściwości. Jakkolwiek rzecz się ma, to nie ulega żadnej wątpliwości, że dla ptaków przelotnych jest wiatr bodźcem do podejmowania podróży.

Słonka rozpoczyna swą jesienną podróż wraz z północno-wschodnim wiatrem, który przynosi ją ze Skandynawii i tunder. Zjawisko temu atoli stoi wprost naprzeciw fakt, że przeciwne prądy wiatrów mają częstokroć ten sam skutek. Skutkiem tego liczni ornitologowie nie przyznają panującemu kierunkowi wiatrów jakiegokolwiek wpływu na rozpoczęcie lotu ptaków. Wpływ ten przyznają wyłącznie huraganowi, który ciąg ptaków zupełnie wyklucza.

Na ptakach, przybywających na morskie wybrzeża, można obserwować najlepiej, że nagle powstałe wiatry odwlekają ich zamierzony ciąg ponad morze. Jeżeli burza zaskoczy ptaki w czasie przelotu przez morze, zbaczają z obranego kierunku i zjawiają się w okolicach, zazwyczaj nie obieranych za miejsce pobytu.

Jeżeli jednak ptaki przelotne potrzebują do lotu przeciwnego wiatru, to trudno zrozumieć, dlaczego gwałtowny, a więc spotęgowany wicher przeciwny jeszcze w wyższym stopniu nie przyczynia się do popierania tego lotu. Gdybyśmy wyłącznie hołdowali mniemaniu, że ptaki przelotne potrzebują do swej podróży przeciwnego wiatru, to nie moglibyśmy sobie wytłumaczyć, dlaczego burza zapędza ptaki w obce dla nich kraje, niemniej dlaczego wielka ich ilość ginie w czasie burzy na morzu.

Jeżeli przyjmiemy, że wiatr pędzi z chyżością 20 angielskich mil na godzinę, to chyżość ta wyrażona w ciężarze, cisnącym n. p. na dziką kaczkę będzie odpowiadała 2 kilogramom. Ten opór powietrza wyrażony ciężkością będzie stopniowo wzrastał z rosnącą szybkością wiatru, aż do 40 mil angielskich na godzinę, tak, że huragan, pędzący z chyżością 80 mil angielskich na godzinę, wywiera na ptaka wielkości dzikiej gęsi, ciśnienie o sile 10 kg.

W tym to spotęgowanym oporze powietrza, należy prawdopodobnie szukać przyczyn wybijania się ptaków z obranego kierunku drogi.

Jak wiadomo, ułatwia nam jaśniejący wśród ciemnej nocy księżyc bardzo zajmującą obserwacyę, gdyż nieuzbrojonem okiem możemy widzieć w niezmierzonej wysokości ciągnące przez jego świecącą tarczę ptaki, z chyżością wprost bajeczną. W szczególności są to wielkie błotniaki, żórawie, bociany, czaple, ciągnące w wysokości kilku tysięcy metrów.

Ptaki te niesione przez wielkie warstwy powietrzne mogą łatwiej wykonać zamierzoną zmianę kierunku, w tej wysokości; zwrot taki byłby trudniejszy, gdyby ciągnęły bliżej ziemi. Szybki lot wszystkich ptaków z rodziny orłów i sokołów, ukośne spadanie sokołów wędrownych i białozorów z chyżością, przewyższającą geometrycznie wzrastającą chyżość wolno spadającego ciała nie podlega wcale wpływowi wiatru, bez względu, jakim jest jego kierunek. Lot ten odbywa się i to ze skończoną, zadziwiającą doskonałością bez względu, czy panuje bezwietrzna cisza, czy też szaleje burza.

Również ptaki przelotne przeciągające pod tarczą księżyca, których dobrze uzbrojone oko zaledwie dopatrzeć może, lecą zawsze zachowując jedno i to samo tempo, bez względu, czy dmie wiatr przychylny, czy też przeciwny.

Rozwiązania oczekuje jeszcze druga kwestya: Jak potrafią ci zagadkowi wędrowcy, w takiej wysokości oryentować się tak stanowczo co do kierunku swego lotu, tudzież jak zdołają w obec zachowywanej przez ich chyżości lotu odnaleść punktualnie i dokładnie upatrzone miejsca.

(*Mittheilungen des n. ö. J. S. Vereines*).

Pogadanka o strzale śrótowym.

Zachęcony przyjęciem mych poprzednich prac przez Szanowną Redakcyę „*Łowca*", postanowiłem i nadal próbować mych słabych sił w obranym raz kierunku. Za temat obrałem strzał śrótowy, który powinien zająć wszystkich bez wyjątku myśliwych.

Niepogoda ostatnich dni zmusiła mię przepędzić kilka wieczorów i większą część dnia w domu, z czego korzystając zająłem się uporządkowaniem nagromadzonego od dawna materyału i tak powstał niniejszy artykuł, który ośmielam się czytelnikom przedłożyć.

Jestem tego zdania, że każdy stateczny myśliwy powinien starać się poznać własne dodatne i ujemne właściwości przy strzelaniu, jakoteż działanie swej broni i zastosować ostatnie odpowiednio do rozmaitych celów. Niegodnie myśliwego działa nietylko ten, kto za daleko strzela ale i ten, kto używa nieodpowiednich celowi nabojów. Wielu myśliwych grzeszy z nieświadomości, to też sądzę, że przysłużę się niejednemu, dzieląc się z nim skrzętnie zebranemi wiadomościami. Naturalnie, że pracy mej nie przypisuję nieomylności, tylko przedkładam czytelnikowi materyał do zastanowienia, z którego każdy może rozmaite wyciągnąć wnioski, oparte na własnem doświadczeniu.

Strzał zależnym jest przedewszystkiem od broni, z której został dany, to też zanim przystąpię do specyalnego omówienia strzału, nadmienię pobieżnie o broni,

Broń śrótowa

Kupując broń śrótową, należy rozważyć, czy lufy mają być dziwirowe, czy stalowe. Jak już w tłumaczonym przezemnie artykule „Dziwir czy stal?“ wykazanem zostało, stal przewyższa pod wieloma względami dziwir, w strzale jednakże okażą się dobre dziwiry równorzędnymi ze stalą.

Po materyale przychodzi pod rozwagę kaliber, o której to kwestyi później mowa. Muszę jednakże nadmienić, że kaliber szesnasty odpowiada najwszechstronniej, zatem najbardziej się rozpowszechnia.

Następnie należy się zastanowić, czy wybrać krótkie, czy długie lufy. Zależy to przedewszystkiem od rodzaju używanego prochu, wiercenia luf, kalibru i przeznaczenia strzelby. Dotychczas znajdują się w użyciu lufy o długości 65—78 cm.

Doświadczenia wykazały, że przy używaniu czarnego prochu powinny mieć lufy długość 75 cm. ażeby zupełnie wyzyskać jego impulsywną siłę, podczas gdy proch bezdymny, szybciej się spalając, pozwala na całkowite wyzyskanie siły gazów, przy znacznie krótszych lufach. Choke bory mogą być również krótsze od luf walcowych.

Ciężar strzelby powinien być przedewszystkiem zastosowany do siły myśliwego zważywszy, że nieraz trzeba ją nosić przez długie godziny w silnym skwarze słonecznym. Miarodajnem tu jest także przeznaczenie strzelby i wzgląd na to, by nie nadto trącała. Jeżeli strzelba ma dawać na jednem polowaniu kilkaset strzałów, musi być masywniej zbudowaną aniżeli taka, która w roku całym około 1000 strzałów daje. Wiadomą też rzeczą jest, że strzelby cieńsze mniej trącają, przy jednakiej zresztą miarce prochu. Fachowcy twierdzą, że strzelba powinna być 96 razy cięższą aniżeli waga ładunku śrótowego, by z niej można przyjemnie strzelać, siła zaś potrzebna do ściągnięcia cyngli, winna odpowiadać wadze 1·8 kg.

Już od dłuższego czasu wyrabiają strzelby w ten sposób, że prawka jest miernie ku ujściu zwężonym stożkiem, lewka zaś „choke bored“. „Choke“ czyli wiercenie zdławione polega na tem, że lufa od komory począwszy ma kształt walca, zaś na 4 cm. przed ujściem następuje nagłe stożkowe zwężenie kalibru (aż do 1·4 mm) a następnie znów kształt walca. Tego rodzaju zwężenie ma za zadanie: przeciwdziałać odśrodkowym dążeniom ziarn śrótu i zgęszczać strzał ku środkowi.

Silne choke bory są dla początkujących i miernych strzelców nieodpowiednie, gdyż mierne błędy w celowaniu spowodowują zupełne chybienie lub co gorsza, kaleczenie zwierzyny.

Wreszcie nadmienić muszę o łożu. Kształt i wymiary łoża, są nader ważnym czynnikiem niestety często przez myśliwych lekceważonym, co za sobą fatalne pociąga następstwa i nieraz sporo krwi napsuje.

Nabój.

Tyle o broni! Zanim jednakże przystąpię do szczegółowego zastanowienia się nad zjawiskami przy strzale śrótowym, muszę nadmienić, o ile użyty do sporządzenia nabojów materyał, wpływa na strzał.

Do prochu czarnego nadają się nawet najtańsze łuski, o ile nie zawodzą. Jeżeli ktoś używa bardzo silnej miarki prochu a po strzale wyjmuje pęknięte łuski, powinien bezzwłocznie nabyć łuski lepsze, gdyż przez pęknięcie łuski dostają się gazy do zamków, zanieczyszczają je i nadwerężają. Jednakże pękanie łusek może być spowodowanem nietylko złą jakością ale także nieodpowiedniem kalibrowaniem tychże, zwłaszcza przy starszych strzelbach o rozszerzonej komorze nabojowej. Takie strzelby, które mają rozszerzoną komorę ale zresztą tak lufy, jak zamki dobre, należy dać rusznikarzowi, by komorę powiększył na najbliższy większy kaliber (n. p. cal. 16 na 14) i używać łusek nowego kalibru.

Strzelając prochem bezdymnym, należy używać łusek specyalnych, zwłaszcza do prochu zagranicznego. Austryackim prochem bezdymnym można strzelać ze zwykłych łusek, tylko dla lepszego zapalania się tegoż, należy na spód podsypać $^1/_2$ naparstka prochu czarnego a strzał jest wyśmienity i bez spóźnienia.

Pomijam stosunek miarki prochu do śrótu, gdyż to jest przedmiotem następnych wywodów a przejdę do funkcyi przybitki na proch.

Niektórzy myśliwi stosunkowo znaczne ponoszą koszta na doświadczenia z rozmaitemi przybitkami, nie osiągające godnych zaznaczenia korzyści. Zadaniem przybitki jest szczelne przegrodzenie prochu od śrótu; poza tem jest przybitka koniecznym balastem, gdyż trąc o ściany lufy zużywa znaczną część siły pędzącej gazów prochowych. Ze względu na szczelne zamknięcie lufy jest rzeczą obojętną, czy przybitka sporządzoną jest z białej, szarej, czy różowej pilśni. Przez gwałtowny napór gazów przy strzale zostaje przybitka zgniecioną i silnie przylega do ścian, dając tem samem szczelne zamknięcie. Przybitka tem łatwiej spełni zadanie im jest wyższą a pilśń stosunkowo miększą. Dla uniknięcia tarcia należy używać przybitek tłuszczonych, lecz natenczas dawać bezpośrednio na proch krążek kartonowy, by się górna warstwa prochu nie zatłuszczała.

Wielu myśliwych używa przybitek o jeden kaliber większych, chcąc osiągnąć szczelniejsze zamknięcie. Kto tego sposobu używa powinien go zaniechać, gdyż pominąwszy trudną manipulacyę przy robieniu nabojów i rozdymanie łusek, powodujące trudności w nabijaniu broni, powstaje w lufie tak wielkie tarcie, że znaczna część siły pędu zużytą zostaje na pokonanie tegoż P. Albert Preuss skonstatował, że przybitki pilśniowo, które przepychane przez lufę, na obwodzie światło przepuszczały, w strzale niczem się od innych nie różniły. Wielu jest tego mniemania, że przybitka, opuściwszy ujście lufy, wpada między śróty i powoduje puste strzały (*Hohlschuss*). Fotografie strzału śrótowego okazały, że przybitka zaraz u ujścia poza śrótem zostaje. Dobrze jest dawać na przybitkę krążek kartonowy, by się ziarnka śrótu w przybitkę nie wciskały.

Strzał.

Płonnemby było silić się na postawienie nieomylnych prawideł dla strzału śrótowego, jak to ma miejsce przy strzale kulowym. Jednakże niestrudzonej cierpliwości badaczy udało się stwierdzić pewne zjawiska, które

się stale powtarzają i wyciągnąć z nich pożyteczne wnioski.

Gazy prochowe pędzą śrót w lufie jako zbitą masę, która opuszcza lufę jako dziki chaos a przecież w tym chaosie jest pewien ład. Niemożliwą rzeczą jest oznaczyć dokładnie lot pojedynczych ziarn śrótu.

Otóż gazy wywiązane zapaleniem prochu uderzają gwałtownie w przybitkę a za jej pomocą w słup śrótu, który na mocy prawa bezwładności usiłuje pozostać na miejscu i powoduje zgniecenie ziarn. O zgnieceniu takiem możemy nabrać wyobrażenia przypatrzywszy się uzbieranym na śniegu, lub pochwytanym kartonami ziarnom, z których wiele będzie zupełnie zmienionych. Jak w grze bilardowej kierunek i sposób uderzenia przeznacza drogę kuli, tak w strzale jedno ziarno podobnem działaniem na inne zmienia obraz strzału i dla tego pomiędzy milionem strzałów nie będzie dwóch zupełnie do siebie podobnych. Wprawdzie technika wyrobu broni doszła już do tego, że może krąg rozsypywania ziarn w strzale ścieśnić lub rozszerzyć, ale o wywarciu wpływu na ugrupowanie się ziarn poszczególnych myśleć nawet nie można. (D. n.)

Bażanty zbytkowne.

(Z FRANCUSKIEGO).



Dzierżąc niepodzielnie berło królewskie zarówno w lasach, jak w ptaszarniach i na biesiadnym stole, jest bażant równocześnie nie zdobyczą łowiecką, lecz skarbem myśliwskich łowów, ozdobą parków, łakocią na uroczystych ucztach. Jest źródłem przyjemności dla człowieka, gdyż pobudza w nim zapał kynegetyczny, delektuje jego podniebienie, zachwyca oczy. Usposobiony nadzwyczaj do towarzyskiego, a w szczególności do rodzinnego pożycia, łagodnych obyczajów, o cudownem upierzeniu, przynoszący w dani wyszukane pieczyste, wreszcie sięgający pochodzeniem zamierzchłej doby — jest bażant arystokratą w każdym calu.

Lecz zaprawdę — skończenie doskonałym jest tylko wtedy, gdy jest nadziany... truflami.

Bażant to kurak arystokratyczny, ptak królewski, zwierzyna książęca. Jego geneologiczne drzewo jest niemniej stare i szlachetne jak jelenia i sokoła. Każdy kto przodkami nie sięga wypraw krzyżowych, jest w obec niego parweniuszem.

Bażant datuje się od wyprawy Argonautów. Jason uniósł go z Kolchidy wraz ze złotem runem. Cezar wprowadził go u Gallów, Karol Wielki wysławiał go szumnie w „Kapitularyach" i upowszechnił w swem obszernem państwie. Ludwik święty zapełnił bażantami ukochany swój lasek w Vincennes, w którym wydawał wyroki u stóp dębu.

Henryk III. Ludwik XIII. Ludwik XIV. wzięli bażanta pod swą królewską opiekę.

Ludwik XIV szczególnie wielki amator tej wybornej zwierzyny, zapełnił bażantami las wersalski i lasek Marly. Nadmieniamy mimochodem, że monarcha ten popierał udomowienie dzikiego łabędzia, który pozyskał jego względy może dla swego królewskiego majestatu, a może jako bohater mitologicznych przygód, jakkolwiek król Słońce, zupełnie nie potrzebował na wzór króla Olympu przybierać na się postaci łabędzia, aby się przypodobać trianońskiej Ledzie. Piękne te stworzenia zapełniły wody w Wersalu, a niezliczone ich stada puszczono na Sekwanę, jak długa. Colbert podjął się wyrobienia im należnego poszanowania. Ptaki te znikły pewnego dnia bezpowrotnie — wytępili je kłusownicy w czasie rewolucyi.

Specyalnemu, bardziej powołanemu pióru pozostawiając praktyczne badanie naszych bażantów łownych, ograniczę się tylko jako naturalista na opisaniu bażantów luksusowych, ptaków exotycznych, cudownie ustrojonych w olśniewające pióra, w chińskie i japońskie szaty. A więc przedewszystkiem wymienię bażanta mnogobarwnego, którego pióra czarne i zielone mienią się czarującymi przebłyskami fioletowej barwy. Jest on zarówno ważnym, jak łatwym do pozyskania. Przybyły wcale niedawno z Japonii, rozradza się szybko nad podziw i lada dzień stanie się pospolitym. I owszem — wszak i róża jest najpospolitszym, jakkolwiek równocześnie, najpiękniejszym kwiatem.

Następnie bażant iskrzący się, również japończyk, w purpurze od stóp do głów, jakgdyby kardynał, lub rzymski imperator.

Stąpając uroczyście — poważnymi krokami, odwraca co chwila cudownie ubarwioną głowę, jak gdyby się lękał, że inaczej olśni sam siebie.

Dalej bażant chińczyk, czczony w tym kraju, z którym z pewnością na punkcie cudnej barwności kostyumu, nie może iść w zawody żaden z mandarynów niebieskiego państwa. Dalej „Lady Amherst" najwspanialszy i najrzadszy zbytkowy bażant. Upierzenie jego to stek najbogatszych, najwykwintniejszych barw, a raczej to nie upierzenie, lecz mozajka, olśniewające zjawisko. Biały, czarny i żółty kolor pomięszały się cudownie by upstrzyć jego szatę; lśni równocześnie białością kości słoniowej, przypomina heban, przebłyskuje złotem.

Gdy stąpa, zda się że ogon jego, długości powyżej metra, nie do opisania bogato ubarwiony, rozsiewa drogie kamienie.

Pierwszy czczony bażant, przybył do Francyi, do zoologicznego ogrodu aklimatyzacyjnego w roku 1866. Nadesłał go M. Darby, francuski konsul w Pekinie. Zaraz po przybyciu — rozpowszechnił się z zadziwiającą szybkością.

Z ptaszarń francuskich naukowych zakładów, przechodzi raz po raz do parków i lasów zamkowych a wkrótce rzadki ten a wspaniały ptak, ubóstwiany niegdyś w niektórych prowincyach chińskich, stanie się przedmiotem łowów.

Bożek zeszedł na zwierzynę. Nie myśl atoli, że okazały ten ptak pyszni się swą cudowną pięknością: odznacza się bowiem skromnością, sielską prostotą, milkliwością i zamiłowaniem do cichej samotności. Nie posługuje się swem upierzeniem, by dumnie roztaczać jego przepych, lecz zdaje się zawstydzony zachwytem, który wywołuje. O ile paw nadyma się w swej pysze, o tyle on otula się w swą skromność. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że pod olśniewającemi piórami ukrywa czczony bażant wyborne mięso.

Bażant srebrny i złoty nie są właściwie ptakami łownymi, lecz raczej służą ku ozdobie. Widząc te barwne ptaki, odnosimy wrażenie, że stworzone zostały na to, by bawić oko, a zarazem zadziwiać i zawstydzać sztukę. I rzeczywiście, podobne barwy mogła tylko wymyśleć natura.

Nie znam więcej uroczego obrazu, nad stado bażantów, rozrzucone na szmaragdowym trawniku, gdzie każdy ptak wydłuża się nakształt kwiatu. „Ptak kwiecisty“ — takie poetyczne miano przydają w Chinach złotemu bażantowi. Pióra jego są w wysokiej cenie. Wyrabiają z nich ubrańka na głowę, paski, gorsety, a nawet całe kostyumy na kostyumowe bale.

Pomnę, lat temu kilka widziałem w salonie jedną z największych elegantek, której stanik, zarówno wdzięczny jak niezwykły, składał się ze samych piór złotego bażanta. Było to bardzo oryginalne, lecz o dziwo, widok tego stanika pogrążył mię w pierwszej chwili w marzeniach gastronomicznych, którym absolutnie nie mogłem się oprzeć. Zdawało mi się, że miasto dźwięków fortepianu, obija się o me ucho dźwięczny, rytmiczny szelest rożna, że wśród woni kwiatów, uczuwam coś nakształt czarującego zapachu... pasztetu zaprawionego perigordzkiemi truflami.

Pióra były wówczas nadzwyczaj modne; można było widzieć na fryzurach niewieścich ubrańka i ozdoby z ptaków rajskich, garnitury ze skrzydełek szczyglich, jaskółczych, sikorczych, piegżych, ziębich, czy zdołałbym zresztą wyliczyć wszystkie te ptaki...

Nie istnieje chyba widok tak malowniczy, jak ta wytworność ornitologiczna, a jednak gdy patrzyłem, jak rozesłały się te piękne, z trupków zdarte szaty na aksamicie i satynie, nie mogłem się opędzić myśli, że przecież skrzydełka te kiedyś trzepotały, że piórka te drżały, że te malutkie stworzonka żyły, że... kochały.

Przechodzę do „Lady-Amherst“. Podziwiając olśniewające szaty tego króla bażantów, w całym ich królewskim przepychu i piękności, zadajemy sobie mimowoli pytanie, zali to nie jest najpiękniejszy twór ze wszechstworzenia. Ojczyzną tego skrzydlatego cudu są Chiny. Wiadomo nam, że słońce u wschodnich kresów pstrzy chińskie i japońskie zwierzęta, jak najżywszemi barwami.

Spojrzyj na cyprynkę, tę malutką złotą rybkę, która zda się miniaturą kiełbika, zmaczaną w soku malinowym, patrz na kaczkę mandaryńską, która wygląda jak pastelowy rysunek, przypatrz się bażantowi kwiecistemu a odniesiesz wrażenie, że to czarodziejska istota, która dopiero co zstąpiła z chińskiego parawanu. Prawdopodobnie z Chin i Japonii przybyły do nas ptaki najbogatsze w barwy i najpiękniejsze bażanty. Zdawało się, że bażant czczony na punkcie piękności barw nie ma współzawodnika, gdy nagle zjawia się „Lady Amherst“, który go przeszedł i wprost zaćmił. Nie dziw, że oglądając go musimy zarazem podziwiać, bo jakież pióro zdołałoby go odmalować.

Jego łapka w różowym kamaszyku, zdaje się, że zaledwie muska ziemię. Olśniewająca szyja, giętka i wdzięczna, unosi z łagodną dumą najpiękniejszą główkę, jakąbyśmy sobie zdołali wymarzyć. Jego ogromny ogon, powłoka nie mająca równej sobie, mieniąca się cudownie, o nieporównanym blasku, zdaje się pokrywać ziemię turkusami i szmaragdami, zlewać na nią kaskadę rubinów i dyamentów.

To nie ptak, lecz cud, marzenie, zjawisko czarodziejskie.

Egipski czerwonak i czerwony ibis australski, żuraw z błyszczącym dyademem na głowie, lazurowy *guit-guit* z czubkiem na głowie z czarnego aksamitu, ptak gura ze swą koroną, przeglądającą jakby przez mgłę, ara, fioletowy ptak brazylijski, papuga słoneczna będąca żywym promieniem słońca, kakadu w białym, jak śnieg płaszczu, tukan brazylijski w sukience, jakoby zszytej z żółtego aksamitu i niebieskiej satyny — wszystkie te olśniewające ptaki, wyglądają przy „Lady Amherst“ jak gdyby były w negliżu. A więc „Lady Amherst“ jest bez skazy? Zatem ten skrzydlaty cud jest bez zarzutu? Zatem ten żywy cud, przemykający się przed nami jakoby ptak zaczarowany z oryentalnej baśni jest skończenie doskonały w swej piękności, wdzięczności ruchów, w bogactwie barw?

Za pozwoleniem — śmiem zaprzeczyć. Jego przywarę stanowi właśnie nadmiar doskonałości. Ja go znajduję zbyt pięknym, zanadto barwnym, nadmiernie przeładowanym i jakoby wypracowanym.

Wydaje się, że go drogie kamienie przyduszą a kolory zatopią, zdaje się, że ugina się pod ciężarem ornamentów, że zanurzony w okazałości nie może swobodnie odetchnąć.

Przedstawia mi się, jakby sztucznie sklejony, jakby wycięty z kartonu i naprowadza myśl, że można go rozebrać, piórko po piórku, że po kilkakrotnem obmyciu uroniłby wszystkie swe bawy.

A jednak jakżeż jest piękny!

Z Chin przejdźmy do Indyi. W głębi lasów, zarosłych gęsto wiecznie zielonymi dębami i maniolowemi drzewami skrywa się dziwny, wspaniały bażant. To tragopan. Dziki i podejrzliwy zrywa się za najsłabszym szelestem. Niedający się oswoić, zazdrosny, znosi obok siebie tylko swą towarzyszkę. Najtajniejsza kryjówka, najbardziej oku niedostępny zakątek wydają mu się niewystarczające do szczelnego ukrycia miłości. Widzialny jest tylko rano i wieczorem. Przez cały dzień ukrywa się i kocha. Samica nie opuszcza go nigdy. Cały jego żywot, to jeden nieprzerwany łańcuch pieszczot, nieustające nigdy „we dwoje“, które dopiero śmierć przerywa. Jego niewyczerpana czułość nie opada nigdy i nie podlega kaprysom. Miłość jego nie ma granic, nie zna zmian. Monotonność jest mu roskoszą, wierność weselem. Czułość jego, miasto go osłabić, dodaje mu hartu nadal, a największą odmianę w miłości znajduje,

ciągle ją na nowo powtarzając. Czar, jakkolwiek powtarza się ciągle — jest zawsze nowy; serce choć ciągle kocha, zawsze młode. Całe jego życie, to jedna pieśń, jeden hymn tkliwy, który milknie dopiero z ostatniem jego tchnieniem. Miłość jego to krynica, z której czerpie swą młodość.

Wynurzania miłosne i ich przyjęcie wypełniają życie tragopana. Co prawda jest to cokolwiek monotonne, lecz jakkolwiek wedle słów Chamforta istnieje odmowa dla ucha, nie ma jej wcale dla serca.

Tragopan wyróżnia się nie tyle jeszcze swą pięknością i ślicznem upierzeniem, co dziwną właściwością swej nerwowej, czułej konstytucyi. Na widok swej towarzyszki wzrusza się, przekształca, popada w szał. Party żądzą podobania się, rozpierany radością na myśl, że jest kochany, obawia się, że jego naturalne wdzięki nie wystarczają, sądzi, że jego żywe, wyniosłe ruchy, szaty białemi zasiane perłami, ognisty grzbiet, gardziołko o lazurze nieba, że to wszystko za mało. A więc, sam ze siebie czerpie ten dziwny ptak coraz nowe powaby, wyklina coraz nowe cudowne czary.

Mieliśmy sposobność obserwować podobne zjawisko w lasku bulońskim a to w muzeum zoologicznego ogrodu.

Żywy, zwinny, płonący żądzą, gorączkowym, rączym krokiem zataczający kręgi około swej towarzyszki, wykonuje tragopan coś w rodzaju miłosnej fantazyi.

Nagle zatrzymuje się, staje bez ruchu, sztywnieje. Patrząc na jego zwiniętą szyję, drgające pióra, na przymknięte oczy powiedzielibyśmy, że to czysty ptak heraldyczny. Następnie wydyma połyskujące gardło, wspina się na palce, skłania słodko główkę ognistej barwy, opiera drżący dzióbek na tętniącej piersi... O dziwo! Nagle zaczynają się pióra na główce poruszać, rozchylać, a z czoła występują dwa małe rożki, calowej długości, niepokalanie niebieskie. W tej samej chwili z rozchylonego, pod wpływem roskoszy dzióba — wysuwa się coś nakształt ludzkiego języka, coś przypominającego skrawek niebieskiego jedwabiu. Rożki te są to dwa gruczoły, które tragopan może dowolnie wydymać; ten język fantastyczny, to człoek umieszczony pod dzióbem, który się rozszerza w przystępie nerwowego ataku.

Tragopan jest w ekstazie. Zatapia wzrok w towarzyszce, olśnionej tym wielkim turniejem piękności, popisem czułości. To już nie zakochany bażant — to wprost fenomen.

Następnie rożki się chowają, język znika, otwierają się oczy, skrzydła odzyskują ruch, wizya się rozpływa.

Tragopan jest indyaninem, wedle mnie jednak ojczyzną przedziwnego tego ptaka powinny być raczej Chiny — gdzie na punkcie ekscentryczności idą w zawody ludzie, zwierzęta i bogi.

Otóż właśnie wyczytałem dopiero w dziele M. Amadeusza Pichot, że nietylko w Indyach, lecz że także przebywa tragopan w lesistych górach Tybetu. Domyślałem się tego. Kolega mój i przyjaciel, znana znakomitość dodaje, że Chińczycy przezwali ciekawego tego bażanta ptakiem „który wymiota jedwab“ właśnie z powodu tego języka, wysuwającego się z dzióba, nakształt skrawka niebieskiego jedwabiu. Na wzór owej księżniczki z bajki, która skoro zaczęła mówić, wnet toczyła z ust perły i dyamenty, tragopan nie może kochać inaczej, jak tylko wymiotując jedwab.

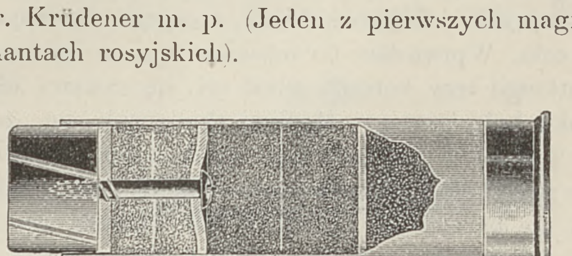
Pocisk flintowy

wynalazku Brennekego.

Jest to pocisk skonstruowany do strzelania z gładkich luf. Pocisk ten ma kształt słupka ściętego i ma na swej powierzchni sześć skośnie ustawionych karbków, na 0·85 m/m wysokich, których zadaniem jest: centrowne prowadzenie pocisku w lufie i nadanie mu ruchu wirującego około osi. Pociskami tymi strzelać można bez obawy nawet ze silnych chocke borów, gdyż średnica samego pocisku mniejszą jest o 0·6 m/m od wylotu zwykłych chocke borów. Do pocisku tego są przymocowane dwie przybitki za pomocą śruby. Przybitki działają tak jak brzeszczot przy strzale, t. j. zapobiegają koziołkowaniu pocisku, przenosząc punkt ciężkości przed środek długości; również zamykając szczelnie lufę, wyzyskują lepiej siłę impulsywną gazów i nadają pociskowi silniejszy pęd.

Celność strzałów zależy od jakości broni, jak to już przy opisie pocisków słupkowych wspomniałem. Siła pocisku wystarcza zupełnie do powalenia najsilniejszego zwierza, a najlepszym dowodem tego następujący wyciąg z listów z uznaniem dla fabrykanta, którego autor zasługuje na bezwzględne zaufanie.

„Obecnie mogę już panu donieść“, o doświadczeniach moich z pociskami flintowymi. Posiadają one nadzwyczajną siłę przebijania. Jednego z łosi, do którego z odległości 30 kroków strzeliłem, przeszył pocisk na wylot, przebijając obie łopatki. Jeden z mych znajomych strzelał do łosia na kulawy sztych z przodu, pocisk strzaskał łopatkę, a dostawszy się do wnętrza spowodował, że zwierz wnet obległ. Raz strzeliwszy z lufy ekspresowej, do łosia w pędzie, jakkolwiek dobrze trafiłem, zmuszony byłem z gładkiej lufy pociskiem flintowym poprawić, gdyż zwierz dalej pomykał; strzeliłem na 120 kroków i łoś padł z dymem, gdyż pocisk przeszył go prawie na wzdłuż. Heuseldorf, Liwlandya, E. bar. Krüdener m. p. (Jeden z pierwszych magnatów w Inflantach rosyjskich).



Rysunek uwidacznia u góry poprzeczny przekrój (a właściwie czoło) pocisku, podtem zaś podłużny przekrój naboju, a zarazem sposób nabijania.

Przy nasadzaniu pocisku na dwie przybitki trzeba uważać, by nie nasadzić krzywo. Również łuska nie powinna być za gruba. Przybitki na proch powinne być tak wysokie, żeby ołów pocisku wystawał z łuski 4 do 6 m/m. Karbków pocisku należy starannie strzedz przed zgniéceniem.

M. R.

Korespondencye.

Stanisławów, 8-go grudnia 1901.

Wczoraj polowaliśmy w Korościatynie, majątku pp. Słoneckich. Pogoda była wspaniała — mrozik kilkostopniowy — pole białe. Padły: 1 dzik, 1 kozioł, 28 zajęcy. Lisy wysłały do naszego prezydenta delegata, który mu z bezpiecznej odległości oświadczył, że pp. Mykitowie chwilowo przybyć nie mogą, bo pierwszy śnieg razi ich bardzo w oczy, polecają się jednak łaskawej pamięci, zwłaszcza tych panów, których strzelby na sto kroków biją każdego zająca — obiecując z postrzałkami zrobić w nocy porządek.

Stary leśniczy Nowicki prowadził polowanie doskonale i ze spokojem, co jednak nie wyklucza, że popełnił kardynalny błąd: w pierwszym miocie miał obtropionych kilkanaście dzików, w obec czego polecił nam pozakładać kule, nagonkę ustawił w odpowiedniem miejscu, a sam poszedł w trop, aby dzikom powiedzieć, którędy mają iść. I oto zamiast posłać je wszystkie dołem, gdzie stali wytrawniejsi myśliwi, a jednego lub co najwyżej dwa górą, aby się tamci panowie bawili, zrobił wprost przeciwnie, a skutek tego był taki, że dołem poszła tylko jedna stara samura, która wyszedłszy między dwu nimrodów aż trzy dobre kule dostała, zaś trzoda złożona z dziesięciu sztuk poszła górą i nawet tak nietaktownie się znalazła, że nie ustąpiła myśliwemu, który przecież miał większe prawo do miejsca, na które go sam leśniczy postawił. Myśliwy, jako człowiek z dobrym wychowaniem ustąpił się dzikom, a te, pomimo przywitania ich salwą wystrzałów, odeszły, nie pozostawiwszy na pożegnanie ani kropelki farby.

O tem, żeśmy się wieczorem doskonale bawili otoczeni staropolską gościnnością, wspominać nie będę, bo to do „*Łowca*“ nie należy.

Nie brakło i Wrześni. Oto jeden z towarzyszy p. nadinżynier Bulwiński poddał nam myśl płacenia kar za pudła na rzecz dzieci wrześnieńskich. Dyskrecya mi nie pozwala zdradzać, ile jedno pudło kosztowało — ograniczam się na sumarycznem podaniu zebranej kwoty 10 koron 20 hal., którą równocześnie przekazuję szanownej redakcyi z prośbą o otwarcie swoich szpalt dla ewentualnych dalszych składek i użycie do wspomnionego celu. Wprawdzie po ostatnim miocie było w kasie wszystkiego trzy korony, choć mi się zawsze zdawało, że huku było więcej: Myśliwi tłumaczyli się, że dają dużo prochu i dopiero przy doskonałem francuskiem winie ruszyło się w niektórych sumienie, no a także sąsiedzi nie bardzo po sąsiedzku się znaleźli, wyciągając różne niepotrzebne rzeczy i nicując każdy strzał. Oberwało się przy tem i podpisanemu, zaręczam niewinnie. Sąsiad postrzelił zająca, a że było daleko, chciałem go dobić strzałem z ekspressa. I ten strzał wywlekli a pomimo, że nie był pudłem, bo kula trafiła i to w sam środek... grabczaka, na co mam naocznych świadków, musiałem swój obol dopłacić.

Dr. Beill.

Krogulec, 8. grudnia 1901.

W dniu 16-go listopada r. b. polowaliśmy w Kolendzianach w 6 strzelb. Kolendziany, majątek pana Ludwika Horodyskiego, to mały raj dla myśliwego, zwierzyny dużo, gdyż właściciel, zapalony myśliwy dba o zwierzynę, tępi szkodników dwu i czworonożnych. Polowanie było prowadzone wzorowo. Wielką rozmaitość dla myśliwego, stanowią bażanty, których chów od paru lat zaprowadził właściciel. Na rozkładzie było: 81 zajęcy i 9 bażantów. Rogaczom wolno było pomykać bez strzału, gdyż strzela się je tylko na podjazd. Opisywać przyjęcia po polowaniu nie będę a zakończę serdecznem: „Bóg zapłać“ za tyle miłych chwil spędzonych w lesie i dworze.

Bronisław Łastowiecki.

Łańcut, 10. grudnia 1901.

Do artykułu mego z dnia 16-go listopada b. r. w „*Łowcu*“ z dnia 1-go grudnia 1901 dodaję, że *w lesie na lisy polowano jeden dzień*, zaś na bażanty w Romanówce 12 listopada od 1 do $3^1/_2$ popołudniu, zaś od 13 listopada godziny 3-ciej popołudniu do 4-tej, razem tedy w tych dwóch dniach polowano $3^1/_2$ godzin.

Wł. Lewicki.

Snowidów, 10. grudnia 1901.

25 i 26 listopada polowaliśmy w Kośmierzynie u p. Mieczysława Potockiego, pierwszego dnia w 8, drugiego w 4 strzelby.

Na rozkładzie 2 rogacze, 6 lisów, 30 zajęcy, jedna sowa. Oczekiwano głównie dzików — polowanie jednak na czarnej stopie w bardzo trudnym terenie, bo na ściankach dniestrowych, utrudniało znacznie obtropienie jak i szukanie postrzałków. Dwa dziki strzelane, chociaż dobrze im się po skórze dostało uszły a trzy wymknęły się flanką, nawet nie zawąchawszy prochu. Gospodarz jednak kontent, że ta okrasa polowania była i goście bodaj strzelali. Ale z dzikami tak bywa — gdzie ekspresy i mannlichery oczekują przy sutej nagonce, to wykręcą się „sianem z piwnice“, jak to mawiał nieboszczyk Rej z Nagłowic — a częściej paru myśliwych z powiązanemi sznurkiem flintami dojeżdżają im końca.

Muszę tu pochwalić gospodarza za jego pracę na niwie św. Huberta, co w pięknem przymówieniu w czasie obiadu podniósł znany doskonały myśliwy p. Marceli Bogdanowicz. Gdy się bowiem uwzględni, że przed dwoma laty Kośmierzyn należał do 36-ciu właścicieli żydów (proszę sobie wyobrazić gospodarkę łowiecką), a roku poprzedniego padły tylko 3 lisy i 13 zajęcy, rezultat teraźniejszy jest dla gospodarza prawdziwą zachętą na przyszłość. Ale dziki wymknęły się, biadał właściciel; „co się odwlecze, to nie uciecze“ pocieszaliśmy chórem.

A. K.

Lwów, 7 grudnia 1901.

W chwili, gdy echa procesu wrześnieńskiego, obok wiadomości o dawnych i nowych gwałtach przebiegły iskrą elektryczną całe społeczeństwo i najspokojniejszymi targnęły nerwami — gdy przy całej wstrzemięźliwości,

bronić się trzeba przed chęcią propagowania nienawiści rasowej do wszystkiego co niemieckie, co pruskie — budzi się mimowoli niechęć do siebie samego i do drugich zato, że dobrowolnie, a tak często niemieckich używamy wyrażeń. Używamy tych wyrażeń w życiu codziennem — używamy także przy polowaniu.

Mam na myśli niemieckie pozdrowienie myśliwskie; „*Weidmannsheil*“, „*Weidmannsdank*“.

Nie potrzebuję chyba nadmieniać, że wogóle bez takiego pozdrowienia istnieć i polować można — niemniej jednak mamy do czynienia z utartym już zwyczajem, a dobrym zwyczajem dlatego, bo wielka konfraternia myśliwska szukając i używając specyalnych myśliwskich wyrażeń — daje temsamem dowód, że niezatarła się dotąd, uświęcona przez wieki pewna łączność duchowa, jaka wszystkich prawdziwie po myśliwsku czujących przy wykonywaniu łowiectwa mimowoli zbliża.

Dobrze więc jest, że myśliwi pozdrawiają się specyalnie myśliwskiem pozdrowieniem, a źle, że do tego pozdrowienia pożyczają wyrazu niemieckiego.

I dlatego tę sprawę poruszam, a nie przypominam sobie, aby o niej była kiedyś mowa w „*Łowcu*“. Z propozycyą nie występuję żadną, w tem przekonaniu, że nasi Nestorowie myśliwi, przechowujący dla użytku młodszej rzeszy tyle z dawnych czasów wspomnień, znajdą w myśliwskim słowniku odpowiedni wyraz — i gdy już chcemy witać się po myśliwsku, nauczą nas polskiego pozdrowienia.

Wład. Sołowij.

W G r o j c u, 2 grudnia 1901.

Stosując się do życzenia „myśliwego z Królestwa polskiego“, który w artykule swym „jeszcze o ptakach robiących świecę“, prosi kolegów o podzielenie się ich spostrzeżeniami w tym kierunku, dodaję moje własne, zebrane w mej przeszło trzydziestoletniej, obfitej praktyce myśliwskiej. Twierdzenie starych wytrawnych myśliwych, że ptak robi świecę, albo kontuzyowany w mózg, lub też według drugich trafiony w kuper, pobudziło mię od dawna do tem ściślejszych badań w tym kierunku, że zjawiska tego względami fizyologicznymi wytłómaczyć sobie nie mogłem, bo obrażenie mózgu mówiło by raczej za zboczeniem od pierwotnego kierunku lotu w kierunku poziomym, a nie pionowym, przestrzelenie kupra zaś samo przez się, nie powinno wywołać anormalnego lotu.

Robienie świecy u ptaków postrzelonych, spostrzegamy prawie wyłącznie wtenczas, jeżeli strzelamy za zwierzyną zrywającą się przed nami i od nas ciągnącą, strzał wtenczas trafia ptaka z tyłu w grzbiet, niżej lub wyżej, a postrzałek robi w tym jedynie wypadku świecę, jeżeli bodaj jedna śrócina przebiła pokrywę grzbietu, a następnie płuca, co me liczne sekcye dowodnie stwierdziły, a co i z punktu fizyologicznego łatwem jest do wytłómaczenia. Jeżeli bowiem choćby jeden śrót przebije płuca ptaka, wtenczas następuje wewnętrzne ich przekrwienie, a skutkiem tego brak oddechu, ptak chroniąc się przed uduszeniem, wzbija się instyktywnie pionowo w górę, jak to czyni każde żyjące stworzenie w razie braku powietrza, a z chwilą, gdy rozlana w płucach krew zatamuje oddech, spada nieżywy na ziemię, ginie więc bezpośrednio raczej skutkiem uduszenia, a nie postrzału.

To samo zjawisko widzimy również u zwierzyny grubszej (jeleń, rogacz) strzelanej kulą. Sztuka trafiona w płuca, daje charakterystyczny w oczach myśliwego skok pionowo w górę, co spostrzegłszy, można być pewnym, że postrzałka nieżywego nie daleko znajdziemy. Tych słów parę z mej długoletniej łowieckiej praktyki, z życzeniem by doświadczeńsi koledzy, swych spostrzeżeń w „*Łowcu*“ nam udzielili.

J. Chwalibóg.

H a n k o w c e, 4. grudnia 1901.

Nowy niszczyciel kuropatw.

W r. b. wystąpiły w tutejszym powiecie bardzo groźnie myszy i aby uratować oziminy, oraz koniczyny, wsypywane bywają różne trutki w nory mysie a między temi pszenica, lub owies zatruty strychiną. Kuropatwy, które najwięcej na pszenicach i koniczynach żerują, napotkawszy zatrute ziarnka zboża, przypłacają chęć odżywiania się życiem, jak to miało miejsce w Ihrowicy i Chomach, gdzie znaleziono dotąd do 50 sztuk strutych kuropatw.

W. C. Piotrowski.

Kalendarz łowiecki.



W grudniu strzela się wszystko oprócz jeleni i kuropatw.

Kronika.

Składka na dzieci wrześnieńskie. W myśl wniosku Dra Beilla, pomieszczonego powyżej w nadesłanej przezeń korespondencyi ze Stanisławowa, otwieramy chętnie listę składek na ten cel, a umieszczając jako pierwszą pozycyę nadesłaną przez Dr. Beilla kwotę 10 koron 20 halerów, upraszamy o nadsyłanie ewentualnych datków w ten sposób na polowaniach zebranych pod adresem naszej administracyi.

Uprasza się wszystkich P. T. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładki za rok 1901 i poprzednie lata, by raczyli zaległości jak najrychlej nadesłać, gdyż w przeciwnym razie może z braku funduszów nastąpić zwłoka w wydawnictwie naszego pisma.

Administracya Łowca.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.